NUMER POJEDYŃCZY 10 K.

ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY
TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY
I SPOŁECZNY

REDAKCJA i
ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. MAZOWIECKA No 5
TEL. No 226-83.

No 9

WARSZAWA
DNIA 18 LUTEGO 1912 R.



ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Rytował H. Bürkner.

Ze zbiorów Hieronima Wildera.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

Z „OSTATNIEGO".

Życiam wiek cały przemarnił w więzieniu,
W nędzy—w chorobie—w ciemności—w milczeniu!
Pamięci ziomków coraz niewidomszy,
Tym, co mnie znali, coraz nieznajomszy;
Od kochających coraz mniej kochany,
Aż teraz pewno całkiem zapomniany!
Za to pod czarnem pogrzeban sklepieniem
Żem jak syn światła niegdyś ziemi śpiewał,
I pieśń jak ziarno w ludzkie serca wsiewał,
By równem memu odkwitła natchnieniem!

Z „PRZEDŚWITU".

Chrystus objawił ludziom ideę ludzkości. — Przed Nim prawdziwych narodów, oprócz hebrajskiego, nie było: bo nie znano celu, do którego dążą narody, ku któremu ciążą, jak planety ku słońcu. — On to obiecał, że będzie na świecie kiedyś jedna tylko owczarnia i jeden pasterz; On to przykazał modlącym się do Ojca powtarzać te słowa: „Przyjdź Królestwo Twoje!" — I takiem westchnieniem, od lat dwuch tysięcy, my wszyscy prosimy Boga o uwidomienie się ideału ludzkości na ziemi!

Świat już dzisiaj pojmuje, ku czemu garnie się historja; wie, że nią rządzi mądrość boża i że celem jej jest ludzkość, czyli cała powszechność, zgodna z wolą bożą, znająca i wypełniająca prawo, które Bóg jej nadał. Środkami zaś do tego celu, narzędziami, członkami żywymi, są „narodowości", w których odbiły się, jako w najwyższym swoim rozkwicie, wszystkich plemion ludzkich różnice. — Czem nuty w akordzie, tem one w społeczeństwie: rozmaitością i zgodą zarazem. Bez nich niepodobna pomyśleć ludzkości, bo byłaby to wtedy jedność bez rozmaitości, a zatem właściwie nie żadna jedność, tylko martwa jednostka! —

Państwa są utworu ludzkiego, są zbiorem przysypkowym cząstek. Jedne narodowości są kreacji bożej i dlatego właśnie nie państwa bez narodowości, ale narodowości upaństwowione jedne tylko mogą być chrześcijańskiemi, czyli należeć do składu powszechnej ludzkości.—Już w średnich wiekach taki wysoki ideał byli pojęli papieże — i oni zapragnęli wszystkie stosunki polityczne uchrześcijanić, w Europie. — Była jednak w ich pomyśle ta niedokładność, że pojmowali raczej zwierzchnictwo Kościoła nad świeckim bytem, aniżeli pojednanie się zupełne boskich rzeczy ze świeckiemi, woli bożej z ludzką wolą. — Ich ideał też rozsypał się. Kościół został na jednej stronie, polityka odbiegła na drugą — i od czasów reformy zupełnie pogańską się stała.

Z „IRYDIONA".

Powstań! czy słyszysz ten głos co zagrzmiał nad milczeniem wszystkich duchów? O pierwszych połyskach świtu on zleciał jak piorun i woń wszystkich kwiatów dolin podniosła się ku niemu.

— Idź i zamieszkaj wśród braci których ci daję — tam powtórna próba twoja — po drugi raz miłość twoją ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać — i męki tysiąców wcielą się w jedno serce twoje.

— Idź i ufaj imieniowi memu — nie proś o chwałę twoją ale o dobro tych, których ci powierzam — bądź spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych — oni przeminą, ale ty i słowo moje nie przeminiecie!

— Idź i czyń choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich — choć zwątpisz o braci twojej — choćbyś miał o mnie samym rozpaczać — czyń ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, a zmartwychwstaniesz nie ze ze snu jako wprzódy było, ale z pracy wieków — i staniesz się wolnym synem niebios! —

Z „PSALMU NADZIEI".

Dość już długo — dość już długo
Brzmiał na strunach wieszczów żal!
Czas uderzyć w strunę drugą,
W czynów stal! —

Wszystkim ciała dał Jehowa —
Duszę wszystkim Chrystus dał,
A duch święty, żywot chowa
By wraz ciało z duszą zlał!

Ja wam mówię — niedaleki
Zbawiciela Objawiciel!
Niedaleki — nam przed wieki
Obiecany Pocieszyciel!

Oto idzie już godzina.
Poznan będzie — niepojęty!
Z Ojca weźmie, weźmie z Syna
I rozleje się Duch święty! —

A nie trony — ni korony
Pierwsze ujrzą Cię na niebie;
Lecz niewinnie umęczony,
Ten o Duchu! ujrzy Ciebie!

Kto lat tysiąc wieku strawił
Kościół broniąc od poddaństwa!
Miljonową pierś wciąż krwawił,
Aż rozdeptał gad pogaństwa!

Kto śród ludów nie miał brata —
Ten, na czyim już pogrzebie
Były wszystkie króle świata,
Ten, o pierwszy, ujrzy Ciebie!

Bo choć krwawy — choć zemdlony,
Wzrok utopion trzyma w niebie!
A kto patrzy w Ducha strony,
Ten, o Duchu, ujrzy Ciebie!

Z „PRZEŚWITU".

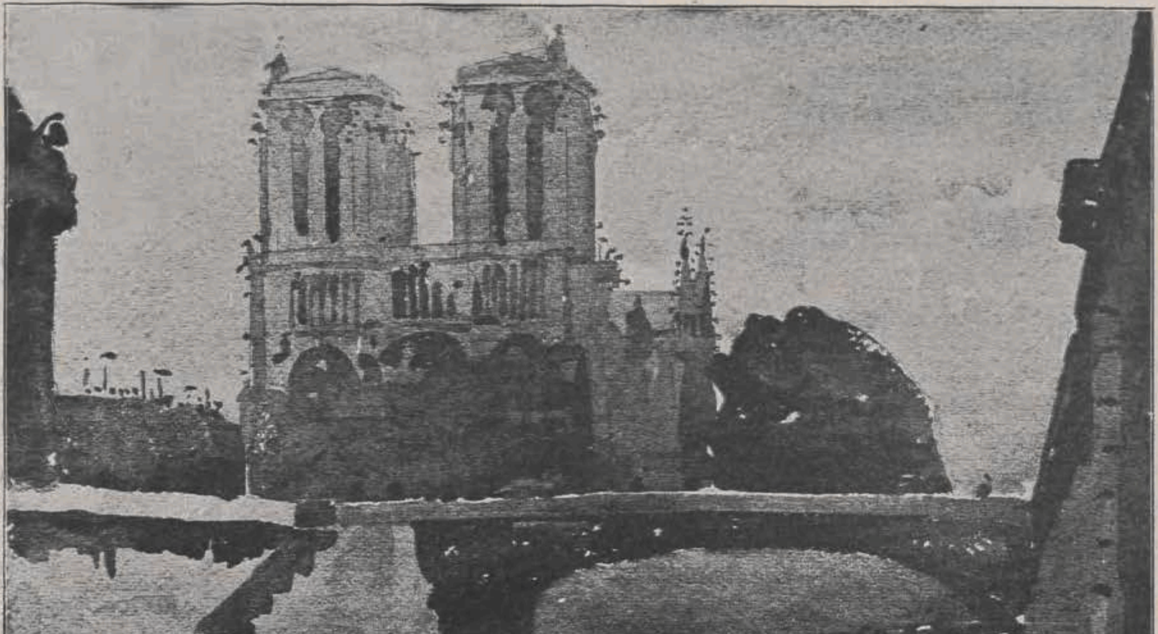
Znasz ty miłość, która nęci
Wiecznie duszę w kraj pamięci?
Czy po nocach ciebie woła
Rodowego krzyk anioła?
I twym oczom patrzeć każe
W dawno zmarłych żywe twarze?

Znasz zimowy step ten głuchy,
Gdzie śpią w grobach ojców duchy?
Gdzie w powietrzu twarz księżyca,
Jak trupiego widmo lica,
I gwiazd niema — tylko ona
W środku niebios, niewzruszona,
W jej promieniach przestwór cały
Znicestwiony, skamieniały?
Kędy spojrzeć, na wsze strony,
Zaspy — śniegi — lody — szrony,
Strach, jak biało — pusto — marno!
Groby tylko z głazu ryte,
Żadnym śniegiem nie pokryte,
Śród tej bieli stoją czarno!

. . . .

Nie, co znikło, nie umiera!
Jak zaklęte czarem bóstwo,
Przeszłość wraca w jawu kraje!
Patrz, grób każden się roztwiera
Umarłego ci oddaje! —
Antenatów blade mnóstwo,
Dawne króle, radne pany,
I rycerze i hetmany
Obwiązują cię dokoła.
Cmentarz z lodu i kamienia
W sejm—w zjazd—w Polskę się przemienia!
Zgon się darmo wrył w te czoła;
Choć wzrok próchnem — błękitnieje,
Znać w nim Wiarę i Nadzieję!
Patrz, z pod rdzawych tych szyszaków,
Z pod tych koron i kołpaków
Bije dotąd iskra ducha,
Senatorska tli wspaniałość,
Lwi się szlachty stara śmiałość
I niewoli wzgarda bucha!

Jam ich widział i szlochałem!
Na tej białej snów mej ziemi
Jam ich widział, i przed niemi
Tak, jak pada trup, padałem.



Bolesław Buyko. **Kościół „Nôtre Dame" w Paryżu.**

(Tow. Z. S. P.)

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

LEGIENDA.

Zdało mi się, że w samą wigilję Bożego Narodzenia wychodzę z bram Rzymu, i że idę przez kampanię. — Pogańskie tam grzały się groby w promieniach słońca — ranek był — niebo czyste jak zawsze i pustynia smutna, jak od wieków.

Szedłem dzień cały, niesion ducha potęgą. — Stare wodociągi póki mogły szły za mną, lecz jam poszedł dalej. — Bluszcze jak zielone żłoby Chrystusa szumiały po świątyń ruinach. — Leciały nademną białych ptaków stada—przedemną w dole pełzał gad błyszczący. — Huk morza zaczął wołać na mnie!

A kiedym stanął na ostatniem wzgórzu ziemi — kiedym ujrzał wody, słońce już zachodziło! — a daleko na wodach stała plama czarna, jakby żywa, coraz większa i lecąca ku mnie — wreszcie ogromna gdy słońce zgasło, a zmierzch padać zaczął.

Wielki to i posępny okręt, bez płócien i masztów — a wszystkie fale kołami rozbija na pianę — i z pośrodka jego bucha słup dymu, który leci nazad w nieskończoność.

Coraz to ciemniej — on jak widmo czarne toczy się w przestrzeni, grzmiąc — dwa ogniki nocne spadły przed nim w morze — głos wtedy z pokładu się odezwał: — Czy dziś ostatnia wigilja Bożego Narodzenia? —

Ja w duchu przerażony odparłem ze wzgórza: — Zaprawdę dziś Wigilja jest — i wnet stanął okręt przy samych brzegach, blada para rozwiodła się nad nim, żużle i iskry sypnęły się z jego boków—w świetle czerwonem zajaśniał pokład na znikomą chwilę.

Stały tam postacie w karmazynowych czapkach i w płaszczach bielejących — usłyszałem niby zgrzyt łańcuchów — zdało mi się, że pada ciężki most, długi most od okrętu rzucony do brzegów — po nim w ciemnościach wiją się te postacie i dążą ku mnie.

A gdy niedaleko już były, zapytały jednym głosem: — Kędy droga do Rzymu? —

Jam odparł: — niema tu drogi — tu pustynia. — A oni odrzekli: — prowadź nas zatem. — A kiedym się wahał, znow się odezwali cichym i tęsknym głosem: — Myśmy ostatki szlachty polskiej. — Anioł pokazał się nam, anioł niepodobny tym, których oglądały ojce nasze, bo miał skrzydła bez blasku, i welon żałoby na czole — lecz wiemy, że on z nieba zesłan — a on nas tu posłał.—Długośmy płynęli—wielkie tam były wichry i słoty na morzu — lecz dopełni się wola Pańska, jeśli dziś o północy staniem w Bazylice Piotra. —

A ja im na to: — Idźcie za mną nieszczęśliwi ludzie. — I nazad ku miastu od brzegów morza stąpać zacząłem, drżąc i modląc się jakbym przechodził przez cmentarz, a z tyłu za mną wstawali umarli.

Wiatr się zerwał, a żadnej chmury nie widać — gwiazdy wszędzie lśnią na ciemnem, na głębokiem niebie — w dole taka czarna równina! szare tylko czasem mijamy mogiły — czasem bladych gruzów zaspę — czasem wodociągów bramy — zdaleka słychać wielkich trzcin szelesty — w górze niekiedy krzyk nocnego ptaka — i bliżej gdzieś wśród rozwalonych grobów, tam, szmery podziemne!

Oni idą za mną z tyłu — czuję na moich barkach ich piersi oddechy — a chyżo stąpam bo oni się śpieszą — słyszę jak ich płaszczów fałdy wiją się z wiatrami!

I zdało mi się, że widzę ognik błądzący w oddali — wnet drugi i trzeci — a gdym jeszcze postąpił, ujrzałem wielką mnogość świateł na równinie — przesuwały się one, dążąc z stron różnych, a ku jednej stronie — i oto zaczął gwar głosów wielu szumieć w pustyni.

A gdym podszedł bliżej, obaczyłem jakoby mnóstwo pielgrzymów idących przez kampanię, z pochodniami w ręku. — Łuna koło nich rozpostarta, szła razem z nimi, wśród dwuch wielkich ścian ciemności, a w niej wysokie krzyże i obrazy świętych i różnych narodów sztandary w powietrzu.

W sam śródek tych tłumów wwiodłem hufiec mój — wtedym ujrzał zasępione lica ich — tych, którzy szli za mną i jakieś natchnienie w ich oczach, ale nie życia natchnienie — i szable, na których się opierali jak tamte pielgrzymy na kosturach swoich.

A ledwom wszedł z nimi pod światło pochodni, zdało mi się, jakoby stanęły tłumy pytając ich: — Co wy za jedni, i skąd idziecie?—

Oni się zatrzymali i dziwny uśmiech rozbiegł się po ich ustach — a odrzekli zaraz: — Azaż nikt nas nie poznał na świecie? —

Cichy szmer, szmer rosnący rozległ się naokoło, zdało mi się, że wszystkie hufce pielgrzymów zawołały razem: — Znamy was — wyście ostatnie bohatery ziemi. —

Wtedy oni ciągnęli dalej: — Widzieliśmy anioła z czarną zasłoną na czole — on nam kazał spieszyć do Rzymu — a wy, mówcie, czyście słyszeli głos jaki? —

Wzbił się wielki jęk tłumu odpowiadający im: — Amen. — Ten sam anioł kazał nam domy porzucić — głos jego rósł nocą, nad nami w powietrzu, i nie dawał nam zasnąć. — Dni onych, mówił, Chrystus raz ostatni narodzi się u grobu Piotra, a odtąd rodzić się już, ani umierać nie będzie na ziemi.

I umilkło mnóstwo, i stało się jakby własnemi przerażone słowy.

Pierwsi Polacy, ruszyli z miejsca, białe na ramiona zarzuciwszy płaszcze. — Z wszystkich stron kampanji coraz więcej tłoczy się pielgrzymów — już widne mury miasta — już słychać dźwięk dzwonów — a im bliżej tem jaśniej, bo na bramach, na wieżach palą się wieńce świateł—i tem huczniej, bo tu i tam i jeszcze dalej jeden po drugim budzi się i brzmi, każden kościół Rzymu.

Zdało mi się, że noc w dzień biały zmieniona — ulic, którem z rana opuścił, nie poznaję

wcale. Tam gdzie gruzy tylko, tam gdzie puszczyk siada tylko, kołyszą się teraz snopy kwiatów i lamp płonące — i rzymski lud ciśnie się tłokiem, wołając: — Weselmy się, weselmy, bo Chrystus dzisiaj narodzi się nam. —

A gdy ujrzeli szlachtę polską wstępującą w bramy, i pielgrzymów potok płynący za nią, krzycząc, skakali z radości — pytają się tylko: Czemuście tak ponurzy goście? Jeśli was długa droga znużyła, odwilżcie! usta sokiem pomarańcz. — Zrzućcie białe czapki i ciemne kapelusze — oto są mirtu gałązki — oto kamelje — skroniom je waszym rzucamy na wieńce.

Ale w milczeniu i brew zmarszczywszy, idą pośród nich Polacy, a idąc mówią do mnie: — Gdzie Bazylika Piotra? nam śpieszno — nam tęskno — wszak już blizka północy godzina? —

A ja ich prowadzę przez Forum. — Zdało mi się, że Amfiteatr Flaviana, ten ciemny, ten stary, jak ogrom światła stoi teraz, od stóp po olbrzymie szczyty kagańcami rozwieszon — każden listek bluszczu znać na nim — w jaskrawych szatach niewiasty i dzieci przechadzają się po piętrach gmachu i klaszcząc w dłonie, witają nas przechodzących.

I wszystkie łuki na Forum i wszystkie kolumny palą się, jaśnieją — i na wzgórzu ścianą z złotych ogni, wznosi się Kapitol — od wielkiej łuny gwiazdy pomdlały na niebie.

Lud ciągle krzyczy: — Hosanna, Hosanna! — A pielgrzymy śpiewają psalmy pokutne. — Lud ciągle bieży i zawraca, brzdąka na gitarach, roztrząsa iskry w powietrzu — a samym środkiem morza tego, my idziem czarno — powoli — w ducha żałobie.

Z wszystkich ganków, z wszystkich dachów, ulic, spadły na nas fijołki i róże.

Już dzwon Kapitolu brzmi daleko z tyłu — a przed nami dzwon świętego Piotra odezwał się w przestrzeniach — on jeden, sam bije teraz — głośniej po nad wszystkie inne!

W stronę wołania tego spieszym się — most na Tybrze przechodzim – domy na brzegach, jak ciche pożary — rzeka jak wstęga z płomieni. — Zamek Anioła najeżon działami — co chwila jedno działo, to błyśnie, to zagrzmi.

Zawracamy teraz — już wchodzim na dziedziniec Piotra — kopuła w lamp szkarłatnych tysiące ubrana — krzyż na jej szczycie jak djament — z obu stron kolumny dziedzińca wydały mi się kręcone z ognia. — Fontanny pośrodku jak tęcz płynących dwoje — i lud wielki obaczyłem czekający tam — i bramy kościoła rozwarte — i wnętrz kościoła jakoby nieskończoność płonącej jasności!

Póki mogli szli Polacy i pielgrzymi, lecz na wschodach, u stóp portyku, mnóstwo zewsząd zamknęło im drogę. — Stanąwszy, o przejście wołają — lecz coraz bardziej, i z przodu i z tyłu i z boków, zgraje ciążą na nich.

I powstały głosy Rzymian: — Alboż my nie pierwsi — alboż ten kościół nie nasz od wieków i na wieki? — A wśród pielgrzymów inne słychać głosy: — Dotąd szlachta polska torowała nam drogę — czyż i teraz ona przed nami, wejdzie do świątyni? —

I ujrzałem jako Polacy wznieśli pałasze na znak, że się bronić będą — szczerym ogniem zaświatniały ich klingi w jaśni powietrza!

Lecz w tej samej chwili na krużganku Bazyliki, wysoko po nad ludem, ukazała się postać w purpurze, która rzekła, a głos jej donośnym był bardzo: — Puszczajcie tych, którzy dla wiary katolickiej niegdyś naród cudzy od śmierci zbawili, a później za tęż wiarę poginęli sami. — Umarłych puśćcie naprzód. — I wzniósł rękę kardynał w prawo i na lewo, jakby tłumy rozdzielał — w dole rozdzieliły się tłumy — a on zobaczył i cofnął się nazad do gmachu.

A jam poszedł zaraz z Polakami prosto przez wschody, prosto przez portyk, w sam kościół, i przez kościół cały, aż przed lampy co się palą na grobie Piotra. — Tu stanęli, i zdjąwszy karmazynowe czapki, i białe płaszcze rozklamrowali na piersiach — przyklękli i modlili się, nagą broń trzymając w ręku.

Pogoda śnieżna marmurów jaśnieje w pustyni kościele — dymy kadzideł srebrno, przejrzysto, wstępują pod kopuły sklepienia wiszące nad nami — na mozaikach posadzki rozrzucone kwiecia i palmy. — Ze wszystkich kaplic odzywają



Teodor Rygier. **Faun.**
(Tow. Z. S. P).

się chóry miękkich głosów radujących się — tam, w dali, koło drzwi, zaczyna się przestrzeń napełniać. — Pielgrzymi idą przez ten świat śpiewu i światła, jako szli przez miasto całe czarni i niepocieszeni. — Potok też ludu rzymskiego wbucha do Bazyliki, hucząc.

A gdy każden orszak zajął miejsce pod sztandarem swoim, przy ołtarzu swoim, przestrzeń ta wielka, cała, znów umilkła jakby pustą była — śpiew ustał po kaplicach — a od strony Watykanu odezwą się trąby na znak, że papież zbliża się do nas.

Przechodzą środkiem kościoła wszyscy zakonnicy Rzymu, starce po starcach, i inni starce i znów starce jeszcze, w białych habitach, w szarych włosiennicach, z krucyfiksem w ręku — przechodzą biskupi w infułach, srebrne pastorały wlokąc za sobą — idą kardynały w rażącej czerwieni — koło nich księża w dalmatykach i tłum śnieżnych dzieci niosących wino, kadzidło i wieńce.

A gdy przelał się ten potok w stronę wielkiego ołtarza — tam gdzie rozstąpiły się tłumy, tam na pustej ulicy między dwoma ścianami z żywych ludzi — które teraz uklękły nagle—szedł bardzo powoli siwy starzec w potrójnej koronie, z białą komżą na złocistych szatach.

Daleko za nim zostali się żołnierze i służba i tron niesiony przez kapłanów — on sam jeden stał w środku ludu i kościoła—sam jeden stąpał ku wielkiemu ołtarzowi i zdało mi się, że każden krok jego trwa chwil wiele, i że nigdy nie dojdzie do nas.

A gdy tak szedł wśród bijących czołem — niekiedy oczy przymykał jakby ulgi oczom szukał od świateł tylu — czasem nad ludem kreślił, nie dokreślał drżące znaki błogosławieństwa w powietrzu — aż stanąwszy westchnął i wzniósł ręce ku niebu — lecz nie mógł ich utrzymać — opadły!

Na to westchnienie ludzie głowy podniosą. Od smutku ojca wszystkich pobledli wszyscy — wtedy zdało mi się, że od wielkiego ołtarza zawrócił jeden z kardynałów, ten sam który wpuścić nas kazał i wzniosłym chodem poszedł ku starcowi starców i podał mu rękę, oczyma jak błyskawicą wskazując mu grób Piotra. — Starzec znów postąpił kroków kilka i wzdrygnął się — kardynał długich włosów pierścienie wstrząsł ruchem głowy na bok i znak dał tym co zostali z tyłu — oni pośpieszą,tron złoty niosąc.

Wtedy ojciec, który jest na ziemi, uchwycił bladą ręką za poręcze tronu i siadł na nim — a wzniesiono go zaraz w górę i trąby znowu grzmią w kościele — kardynał idzie przy tronie. — Lud zrywa się z ziemi — dzwon uderzać zaczyna — dwanaście razy zdało mi się że zadrżały sklepienia — koło wielkiego ołtarza chmura kadzideł się wznosi — w niej papież na wschody wstępuje — a kardynał rzekł: — Chrystus się narodził. —

Zaraz z tłumu pielgrzymów wzbił się jęk żałosny — wszak nie sprawdzą się słowa anioła, że po raz ostatni? —

A lud rzymski krzyknął wściekle: — kto śmie bluźnić w kościele Piotra? —

Jeden z szlachty polskiej wystąpił, wołając:— oni nie bluźnią, a my się nie lękamy was — oni prawdę mówią — ja sam i bracia moi widzieliśmy smutnego anioła. —

A kardynał znów jak książę potęgi ręką skinął i rzekł: — pokój ludziom dobrej woli, niech się modlą bo msza się zaczęła — a czas krótki — a modlitw dziś potrzeba na ziemi i niebie.

I my wszyscy zaczęli się modlić w wielkiem oczekiwaniu.

A ojciec nasz święty siedział przed nami na tronie.

Z kaplic znów wzniosły się głosy gdyby chmury anielskie, pełne niebieskiej rozkoszy. Część nocy upłynęła — przyszli biali kapłani i podali ręce ojcu naszemu — on z tronu zstąpił i poszedł ku ołtarzowi i wziął kielich w ręce, bo pora świętej ofiary nadchodzi — kardynał nalewa doń wina.

A w samą chwilę podniesienia, gdy wszyscy przypadli do marmurów, usłyszano jakoby głos w powietrzu, który wymówił — Jestem — a gdyśmy drżąc podnieśli głowy, ujrzeli wszyscy wielką postać opartą czołem na środkowej bramie, znikającą zwolna, coraz bardziej mglaną, a ręce jej były krwawe i nogi krwawe, lecz sama cała śnieżna — i jak śnieg topniejąc, zniknęła.

Wtedy kardynał, gdy papież trzymając jeszcze kielich w ręku wzdrygał się, sam rzekł: — Ite missa est — a potem zawołał głosem ogromnym: — Czasy dopełniły się i rozdarszy purpurę na piersiach, rękę wyciągnął w stronę grobu Piotra mówiąc: — Obudź się i mów. —

Z każdej lampy nad grobem rzucił się język ognisty i wieniec płomieni rozkołysał się nad ciemnicą grobu — a z dna tej ciemnicy podniosło się ciało, z rękoma ku sklepieniom — i stojąc po piersi zanurzone w grobie, krzyknęło — Biada! —

A za tym krzykiem zdało się nam wszystkim, że sklepienia kopuły pierwszy raz się porysowały.

A kardynał rzekł — Piotrze, czy poznajesz mnie? —

A ciało odpowiedziało: — Głowa twoja ostatniej wieczerzy spoczęła na piersi Pańskiej i tyś nigdy nie umarł na ziemi. —

A kardynał odparł: — A teraz kazano mi, bym wśród ludzi zamieszkał i ogarnął świat i przytulił go do piersi, jako Pan głowę moją ostatniego wieczora. —

A ciało odparło: — Czyń jako ci kazano jest. —

Wtedy kardynał skinął znowu jak książe potęgi — a ciało powtórzyło: — Biada mi — i zapadło z strasznym łoskotem, jakby w otchłań, nazad w grób swój — i rwać się lepiej jeszcze w górze zaczęły sklepienia.

Nam wszystkim straszno się stało. — Jedna szlachta polska patrzy śmiałem okiem, oparta na szablach.

A papież w potrójnej koronie przykląkł na stopniach ołtarza i jak posąg niewzruszony klęczy.

Kardynał rzekł: — Wychodźcie wszyscy, i wy i wy i wy i wy jeszcze, by żaden z was nie zginął pod gruzami tych murów. —

A ludy odrzekły zewsząd: — prowadź nas ty, któremuśmy się dzisiaj dostali w opiekę. —



Stanisław Bagieński. (Salon art. Richlinga) **Na drodze z pod Moskwy.**

I wzniósł się krzyk trwogi, bo coraz huczniej pękały sklepienia, bo wszędzie drżały kolumny i słupy, a lampy tłukły się w wietrze wielkim i gasły.

Wtedy kardynał: — Ojcze mój, czy tu się zostać chcesz?

A starzec rękę podnosząc i przytrzymując koronę, odparł głosem zbolałym: — Ja tu umrzeć chcę — zostaw mnie synu. —

I lud wszystek usłyszał tę odpowiedź i krzyknął: — Uciekajmy. —

I pierwsi Rzymianie zaczęli się zrywać i uciekać.

I każden hufiec ruszył się z pod ołtarza swego, z swoim sztandarem i jął uciekać.

Kardynał wtedy przyklęknąwszy raz ostatni, złożył usta na czole starca i znak błogosławieństwa zostawił koło jego korony, gdyby wianek silnego światła w powietrzu, potem zstąpił i z przedziwną jasnością koło skroni, szedł ku bramie kościoła. — Cały kościół giął się w podrzutach jako ciało umierające ale on wzniesioną dłonią zatrzymał rozdarte sklepienia nad ludem i patrzał aż wyjdzie ostatni z ludu.

A przechodząc rzekł do szlachty polskiej: — Ludzie idźcie za mną. —

Nic nie odpowiedzieli.

On jeszcze głowę odwrócił i rzekł: — Idźcie za mną. —

Oni się nie ruszyli.

A gdy dochodził bramy, pędząc lud przed sobą jako pasterz, raz ostatni jeszcze ręką skinął ku nim.

Lecz oni podnieśli tylko szable w górę jakby na ich ostrzach wstrzymać chcieli spadające mury, i zawołali razem: Nie puścim starca tego.— Samemu gorzko jest umierać – a kto z nim umrze jeśli nie my? — Wy idźcie wszyscy — my nie umiemy uciekać. —

Kardynał zatrzymał się na samym progu i rzucił im zdaleka znak błogosławieństwa, wianek sinego światła także — i łzę miał tej chwili w oku, mówiąc:— Chwila jeszcze a poginiecie.—

Lecz oni szli już wtedy ku wielkiemu ołtarzowi, podać ręce klęczącemu i umierającemu — szli w białych płaszczach i w połysku szabel — a owe cztery kręcone filary ołtarza pękły jak ścięte drzewa i runęły — i baladakin spiżowy runął – i kopuła cała jak zstępujący świat, biało spadała na ziemię.

I wszystkie portyki i pałac Watykanu i kolumny dziedzińca łamały się, rwały, w proch się sypiąc — i obie fontanny jak dwa białe gołębie przypadły do ziemi konając, a lud uciekał coraz dalej jak morze wyparte z brzegów — i zdało mi się że już ranek jest — że słońce dotąd nie wschodzi!— i że widzę tylko gwiazdę jutrzenki nad stosem gruzów tak wysokim, tak ogromnym, jako była niegdyś bazylika Piotra.

Wstępował na ten olbrzymi kopiec kardynał, a mnie się zdało żem poszedł za nim, niesion ducha potęgą.

A gdy on doszedł szczytu, zasiadł gdyby na tronie i spojrzał na świat — a nawet szaty purpurowe opadły mu z ciała i przemienił się w postać białą, łagodnem światłem osrebrzoną — i księga była w ręku Jego — i schylił głowę ku jej kartkom i uważnie czytał.

A twarz Jego była jakby przepojona miłości wyrazem, a pełna pokoju.

Zbliżyłem się zatem do niego i rzekłem właśnie w chwili gdy wschodziło słońce: — Panie, czy prawda, że ostatni raz wczoraj Chrystus narodził się w tym kościele, którego już dziś niema? —

A on z dziwnym uśmiechem, nie podnosząc ócz z nad księgi, odrzekł mi: — Odtąd Chrystus ani się rodzi ani umiera na ziemi, bo odtąd już na wieki wieków jest i będzie na ziemi. —

A ja to słysząc zbyłem trwogi wszelkiej i zapytałem się: — Panie, a ci których przywiodłem wczoraj, czy na zawsze leżą pod tymi gruzami, wszyscy umarli koło umarłego starca? —

A ów biały święty odrzekł mi! — Nie trwóż się o nich. Za to, że wyrządzili mu ostatnią przysługę, Pan odwdzięczy im — bo zachodzący tak jak wschodzący, umarli jak żywi są z Pana — owszem, im lepiej będzie i synom synów twoich. — A gdym zrozumiał, ucieszyłem się i duch mój się przebudził.

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

(1812 — 1859)

Dzieje poezji polskiej idą wręcz odmiennymi szlakami, niż dzieje naszego narodu, niż historja naszego bytu państwowego. Upada rzeczpospolita, dźwiga się poezja. Na rumowiskach wyrasta najbujniejszy kwiat, szeroko i bogato pleni się wszelka roślinka, przesłaniając nadmiarem swojej bujności gruzy i oparzeliska. Poezja staje się w ten sposób drugą ojczyzną, wspomnieniem utraconego raju, snem, marzeniem, legiendą, a jednocześnie jedyną serc polskich rzeczywistością.

I dlatego stoi wobec Niej każdy polak ze czcią!

I dlatego patrzy w Jej słoneczne oblicze z hołdem!

I dlatego uznaje w niej jedyną, dostojną dusz władczynię!

Jubileusz urodzin Zygmunta Krasińskiego, jako jednego z tych, co nam tę złudną a realną zbudowali ojczyznę, z tego punktu widzenia powinien być świętem narodowem. Dał nam bowiem w swojem artystycznem widzeniu Jej kształt archanielski, wprowadził w krwawiące tętno jej sumienia, obudził głos, co trwać będzie wieki, jako pobudka rycerska, jako pieśń o szpadzie. Swawolną zwrotkę śpiewki przebudował w rytm męskiego zastanowienia się nad przeszłością i przyszłością, poezję wywczasów zaprzągł do jarzma narodowej niedoli i uczynił z niej matkę, spowiedniczkę, nauczycielkę, prorokinię!

Sto lat temu w Paryżu, dnia 19 lutego narodził się Zygmunt Krasiński. Ojciec jego Wincenty, syn Jana, starosty opinogórskiego, zaślubił (1803) Marję, córkę ks. Dominika Radziwiłła. Z tego to małżeństwa przyszło na swiat dziecię, które miało w przyszłości stworzyć refleksyjną, pełną głębin myślowych poezję polską. Pierwsze swoje lata pozostawał pod opieką baronowej de la Haye, następnie zajęli się jego wychowaniem tacy pisarze, jak Józef Korzeniowski i Piotr Chlebowski. Atmosfera w domu ojca poety, jenerała W. Krasińskiego, sprzyjała ku rozwinięciu talentu, gdyż był to na swoje czasy jeden z najbardziej kulturalnych domów w Polsce. Zygmunt więc już, jako piętnastoletni młodzieniec rozpoczął próbować swoich sił. Próby nie zawiodły, dodawały bodźca do dalszej pracy. Wszystkie te jednak młodzieńcze prace, aczkolwiek świadczą o wybitnym talencie pisarskim, nikną przed „Nieboską Komedją“, którą stworzył już w 21 roku życia. Miał zamiar dać w tym wstrząsającym dziejowym dramacie „obronę tego, na co się targa wielu hołyszów—religji i chwały przeszłości“, lecz pokazał tylko ujemne strony walczących obozów, by skończyć swoją pieśń westchnieniem: Zwyciężyłeś Galilejczyku! Wszystkoczujące serce Krasińskiego nie zatrzymało



ZYGMUNT KRASIŃSKI.
Podług portretu Scheffera przerysował J. W.

się na hr. Henryku, nie uczyniło zeń bohatera nad bohatery, a oddało na pastwę trującej myśli, co poprowadziła go na krużganek wieży. Pankracy też nie jest ideałem. Poeta w żadnym z tych dwuch światów nie czuje się dobrze, wszystko to, co działają i myślą oni, nie wystarcza jego pragnieniom i dlatego kończy swoją wizję tęsknotą za inną rzeczywistością, za inną ziemią obiecaną.

Gdy w dwudziestoletnim człowieku powstają takie syntezy, gdy mózg jego świadomością odbywa tak głębokie perspektywy w stosunku do całego społeczeństwa — to musi on być myślicielem niepospolitym, jednostką z wyraźnem pomazaniem na czole swojego życia. Są bowiem ludzie, którzy przez całe życie nie budzą się z drzemki, nie wychodzą poza instynkty swoje, choć, podobno, należą do tak zwanej—inteligiencji. Otóż wyższość gatunku człowieka wypowiada się przedewszystkiem w jego stosunku do świata i siebie. Jednostka, obdarzona czujną świadomością, zawsze należy do kategorji tych ludzi, którzy są nadzwyczaj pożądani w każdym zespole ludzkim, którzy nadają temu zespołowi wartość i zbogacają go swoją pracą. Dosyć jest przejrzeć listy Krasińskiego, by wyrobić sobie zdanie o nim*). Nic nie ujdzie z jego horyzontu widzenia, by nie pomyślał nad tem, by nie odnalazł istotnej wartości. — I nie baczy czy są to rzeczy dobre, czy złe, czy godzą się z ideałami, które głosi, czy też im przeczą—pisze o nich, myśli nad niemi, urabia swój charakter w tej walce wewnętrznej. Zazwyczaj pisze się o Krasińskim, że był człowiekiem ujemnego charakteru, choć był wielkim poetą. Dowodzi się, że żył w sprzeczności z hasłami, które głosił. Przytacza się, jako argument małżeństwo jego i porzucenie kochanej Delfiny Potockiej. Rozumiem, że łatwo jest bardzo odszukać jakieś monistyczne podłoże dla tych sprzecznych psychologji, lecz uważam również za nieprzebaczalne pozostawienie kwestji tych na gruntach przeczących sobie, spornych. Takie niekonsekwencje życiowe są możliwe, ale nie znaczą zupełnie, że się działy bez woli poety. Wszystko zaś co się dzieje z udziałem świadomej woli, musi mieć swoje uzasadnienie w monistycznem podłożu, czy to poglądu na świat, czy też wiekami wyszkolonej, zautomatyzowanej duszy. Krasiński zapewne tylko przez swoje kalkulacje popełniał niekonsekwencje, co mówi, że uważał on je za rzeczy zgodne z jego sumieniem. Budzi się, co prawda, głos alarmujący, głos, który przerzuca się z jednej ostateczności w drugą, to osądza siebie, to broni, to znów tłumaczy, że musiał postąpić tak a nie inaczej, co znów wykazuje, że bez charakteru zupełnie Krasiński nie był. W kim bowiem istnieje sumienie sądzące, ten posiada busolę swoich czynów, a to przecież uważamy za jedną z cech charakteru. Nie był on Mickiewiczem — woli, ale też nie był jednostką bez kręgosłupa moralnego. Psychika Krasińskiego czeka jeszcze na psychologa, któryby się w niej rozpatrzył i powiedział nam o niej swój bezstronny sąd. Wszystko bowiem, co dotychczas o Krasińskim napisano a napisano całą bibljotekę — nie wystarcza do zrozumienia twórcy i człowieka Krasińskiego. Może jedynie studja Chlebowskiego wykazują najwięcej dobrej woli i spostrzegawczości, bo poza tem zdanie każdego z krytyków jest zależne od obozu politycznego do którego należy.

*) Cztery tomy: listy do Gaszyńskiego, do Sołtana, do St. Małachowskiego, do Jul. Słowackiego, R. Załuskiego, E. Jaroszyńskiego, Koźmianów i Br. Trentowskiego. Lwów, red. J. Kraszewskiego



GIENERAŁ WINCENTY KRASIŃSKI
ojciec Zygmunta.
(Ze zbiorów Hieronima Wildera).

Autor „Grobu Reichsthalów“, „Władysława Hermana“, „Gastołda“, „Teodoro“, i później twórca „Irydiona“, „Psalmów“ — cóż to za inne światy! wydaje się, że zupełnie inni ludzie pisali te dzieła. Lubujący się w okropnościach, mordach, fantastycznościach — wyznaje później Krasiński, że „szumność jest głupstwem tak w działaniu, jak w mowach, jak w pisaniu, że prawda i prawda tylko może być piękną a kwiatki stylu są niczem, kiedy myśli niema“. Przekształcając świat swoich umiłowań artystycznych, zmieniał też poeta swoje życiowe dążenia. A że miał w sobie rozwinięty i czuły zmysł ambicji i miłości własnej — czyż weźmiemy mu to za złe? Należy więc poznać lepiej tę duszę i jej twórczość, nim kategorycznie coś będziemy mogli orzec o niej.

Nie stać bowiem każdego, by dał nam Irydionowe marzenie o zemście, nie stać by na skrzydłach swojego umiłowania uniósł nas w krainę psalmów przyszłości. Dwudziestoczteroletni artysta wyśpiewa Irydiona i odsłoni tak zdumiewające dale dla myśli historycznej, że nie pyta czytelnik czy klę-

ska Irydiona jest konieczna, a wierzy w irydionowość marzeń, które trawią serce każdego polaka.

Krasiński po przez całą swoją męską twórczość przeprowadza dwie zasadnicze ideje. Bezwzględna miłość i cierpienie, które według poety jest matką wszelkiego życia, oto leitmotywy wszystkich jego rozmyślań, tęsknot i pragnień. Później, po zaznajomieniu się z Edwardem Jaroszyńskim, a potem z zachęty Augusta Cieszkowskiego, wziął się Krasiński za studja nad Heglem, które doprowadziły go do wytworzenia własnej historjozofji. Szczególniej przypadła do gustu Krasińskiemu djalektyka Hegla. Na tej djalektycznej podstawie oparł poeta swoje rozprawki „O Trójcy i słowie wcielonem", „O żywocie wiecznym". Ludzkość, według Krasińskiego, w trzech stadjach musi wypełnić swoją misję. W pierwszym okresie, aż do przyjścia Chrystusa ludzkość, stopniowo oddzielała się od natury, następnie Chrystus przynosi z sobą uświadomienie bożo-człowieczeństwa, by w następnem stadjum cała ludzkość poszła tymi śladami i stała się tem w czynie, czem jest obecnie w zamiarze. Wedle poety ludzkość cała obecnie ma tylko zamiar stać się Chrystusową, w rzeczywistości zaś ma jeszcze wiele przeżytków epoki pierwszej. Otóż należy dążyć, by jaknajprędzej stała się naśladowniczką Chrystusa i wypełniła w czynie, co jest jej losem.

Sławę Krasiński zyskał jeszcze za życia. Co więcej, ogłoszone w roku 1843 poezje p. t. Przedświt, postawiły go na piedestał narodowych wieszczów. Gdy zaślubiał, wbrew głosowi swego serca, Elżbietę Branicką (1843), był jednym z tych duchów, na które patrzą wszystkie oczy i łopocą ku nim wszystkie serca. Umarł w 1859 roku, 23 lutego w Paryżu. Wpływ jego na pokolenie mu współczesne był wielki, a i dziś świat jego ideałów pociąga bardzo wielu. W latach 60 był on może jednym z najbliższych, najserdeczniejszych pieśniarzy, boć przecież jednoczy go sobie jego dzieło—religijność wraz z dążeniami postępowemi, ale pod supremacyjną wolą szlachty, co wtedy było programem większości naszej narodowo - obywatelskiej.

Wydań całkowitych jest kilka. Nie są one kompletne. Warunki polityczne przeszkadzały do wydania wszystkiego i dopiero w roku bieżącym wyjdzie kompletne wydanie jubileuszowe w Krakowie, pod redakcją pr. J. Czubka (9 tomów). Streszczenie poszczególnych utworów znajdzie łaskawy czytelnik w literaturze Chmielowskiego, a resztę w każdym nawet podręczniku szkolnym. Chodzi jednak nie o fabułę tylko. Trzeba się nauczyć żyć w świecie idei poety, w świecie jego ukochań idealnych. I dlatego trzeba przedewszystkiem zwracać uwagę na myśl, na treść każdego utworu. Pomocnym przewodnikiem w takiej pracy będzie Br. Chlebowski, którego uzupełnią pisma pr. Józefa Kallenbacha.

Jubileusz bowiem urodzin Krasińskiego powinien się stać rokiem przemyślenia, przeżycia jego koncepcji moralnych, historycznych, filozoficznych. Dopiero bowiem wtedy należyty mu oddamy hołd, gdy poznamy każdą najskrytszą tendencję jego twórczości, jego śnień poetyckich.

Nie zapominajmy przecież, że poezja romantyków, to Jeruzalem nasza niebiańska.

Nie zapominajmy, że na gruzach Jerozolimy -- mocarna pod niebiosa wyrosła w one czasy pieśń, która po dziś dzień trzyma nasze dusze we władztwie swojem...

A więc, gdy poznamy Jej państwo, poznamy tę, którą utraciliśmy...

Ach, gdyby poznanie to stało się udziałem wszystkich!

Ach, gdyby każdy z nas w narodzie, choć przez chwilę chciał spojrzeć w jej wołające serce!

Eustachy Czekalski.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

9)

STARE LWY.

POWIEŚĆ.

— Nie w tym wypadku, dobrodzieju! nie w tym wypadku!

— Rozpatrzeć się nie zawadzi — mruknął półgębkiem wojewoda — bo ta mi zaraz po ślubie zachorzała, żem tknąć już jej nie mógł, takie z niej chuchro się zrobiło.

— Jakże ten dopust Boży znosi?.. nie sarka, nie narzeka? — pytał ksiądz — —

— Cień leży na pościeli, cichy, bezmowny, pożałowania godzien... a ja cierpię!— westchnął wojewoda.

Sposępniał —

— Rają mi tę, to ową... na wszelki przypadek — szepnął — i jakoś-ci do onej myśli przyzwyczajam się.

— Dość będzie czasu na to po śmierci wojewodziny — ksiądz rzecze. — A może się niebo ulituje i pozostawi ją wam przy życiu.

— Niechże się decyduje: tak, libo tak— byle prędzej, bom ci już i trumnicę zacną zamówił i altembasem amarantowym wybić kazał, i wóz pogrzebowy osrebrzyć polecił, i płytę marmurową wypolerować i wyryć na niej epitafium złotemi literami, które w wielkiej żałości serca skomponowałem.

— Jeno pogrzebu brak—ksiądz mruknął.

— Przy sobie je mam i przeczytam ci, ojczaszku, jeżeli posłuchać zechcesz — ciągnął wojewoda.



Do powieści „Stare lwy". Antoni Gawiński.

Na białej pościeli i poduszkach koronkowych rysowała się jej postać.

Ksiądz z niechęcią głową poruszył —

— Wżdy to jej nie uśmierci, jak i żaden testament nie zabił nigdy spisującego ostatnią wolę swoją — rzekł wojewoda. — Ja sam przed laty dziesięciu testament sporządziłem, niektóre tylko miejsca na kodycyle pozostawiając—a przeciem żyw i zdrów, chwalić pana Boga.

— A no, posłucham — rzekł ksiądz.

Wojewoda wydobył kartelusz z zanadrza, o łokieć oddalił go od oczu — i czytać zaczął:

Tu spoczywa latorośl z Miechowitów domu,
Który się w Polszcze całej rozrósł tak szeroce
I z drzewa swego strząsał cukrowe owoce
Nie byle komu!

Imię Jej — Dominika!.. uschła w lat młodości,
W dwudziestu leciech życia, pełna cnót, urody,
Ukochana małżonka Włodka wojewody,
Pana tych włości.

Jak-ci On ją miłował, niech one marmury
Świadczą o tem i na nich napis żałobliwy,
Mówiący, jako ryczał Jej mąż nieszczęśliwy
Już po raz wtóry.

— To aluzja do żalu po pierwszej małżonce mojej — dodał, przerywając czytanie.

— Rozumiem, rozumiem—szepnął ksiądz, nie odrywając oczu od ziemi.

Wojewoda czytał dalej:

Idź, drogi sercu, Cieniu! — Nim się zniweluje
Żałość ma sroga — Ty już, będąc z niebieskiemi
Duchy zbratana, nie dojrzysz, jak tu twój na ziemi
Mąż lamentuje.

Lecz gdy już wiekuista radość Ci zaświeci
I czystej duszy Twojej już nic nie zabraknie:
Pana nad Pany uproś, ażebym już tak nie
Ryczał raz trzeci!

— A to aluzja do pragnień twoich, dobrodzieju, byś już trzeciej małżonki nie przeżył—odezwał się ksiądz pleban.

Wojewoda z podełba spojrzał na księdza — — Snadź nie spodobała się mu ta uwaga, bo choć małżonce swojej życzył wszelkiej szczęśliwości niebieskiej, sam nie rad byłby z ziemi tej precz się już wynosić. Nachmurzył się, gęste, siwe brwi ostro ściągnęły się nad oczyma a palce zagrały nerwowo.

Zapanowalo milczenie —

Ognisko, nie podsycane, przygasać zaczęło.

W komnacie było parno, na szybach okien mróz malował palmy i kwiaty.

Wśród ciszy słychać było przesypywanie się piasku suchego w klepsydrze. Ostatnie już ziarnka przesuwały się przez szyjkę wązką naczynia, spływały szybko, jak życie ludzkie, szybko, jak szczęście uciekające.

Na palenisku rozsypywały się węgle. Żarzyły się chwilę i ciemniały, białym pokryte pyłem. Parę łyków niedopitego wina złociło się w nietykanych już kielichach, pozostawiając na szkle pierścienie grube.

Nagle trzask dał się słyszeć w kominie.

Posypały się skry złote, czerwonym blaskiem oblały izbę — i przygasły.

Powoli kaptur mroku z półkolistych sklepień się zsuwał; opadał coraz niżej, przykrywał portrety, w złotych ramach na ścianach wiszące, opierał się na policach dębowych, gęstym cieniem zasypywał kąty wszystkie i zwężał coraz bardziej krąg czerwony, odbity od przygasającego ogniska na kamiennych płytach podłogi.

Zbliżała się północ, czas spoczynku i snu.

Ksiądz poruszył się —

— Ostatnie ziarnko piasku za chwilę się przesypie—rzekł, podnosząc się z siedzenia. — Dobranoc ci, dobrodzieju!.. ale — nie spodziewałem się — (dodał) — że z ciebie rymopis taki!..

— Żałość wycisnęła te rymy — wzdychając, wojewoda odparł. — Lecz może Bóg da, że nie prędko użytek z nich zrobię.

Podniósł się z krzesła i pocałował w ramię, żegnającego się z nim księdza.

— Mam jeszcze prośbę malutką do ciebie, dobrodzieju — rzekł pleban.

— A czego ci tam brak?

— Nie wielkiej to wagi rzecz, choćbyś i odmówił. Oto, przyciężki trochę jestem, a ścieżyna z zamku do plebanji wiodąca, mało przetarta jest dotąd. Pozwól, by Przemko mnie odprowadził, ramieniem czasami podparł i od zapadnięcia się w śnieg uratował. Zresztą parę słów a nauk do powiedzenia mu mam, które go zbliżą do ciebie i ciebie do niego przekonają.

— Jakto: zbliżą go do mnie!.. mnie przekonają! — zaperzył się wojewoda. — Mówisz, ojczaszku tak, jakby mnie co bądź zależało na tem!..

— Ale mnie na tem zależy! przecież go z nędzy nie dla nędzy wyrwałem.

— Mały! — zwracając się ku drzwiom sypialni, zawołał wojewoda.

Chłopak, którego Przemkiem ksiądz pleban nazwał, stanął wnet u progu.

— Służbisty! — szepnął ksiądz —

— Chwal! chwal! — nie na wieleć się to przyda — mruknął wojewoda.

Tu zwrócił się do chłopca —

— Odprowadzisz księdza plebana... Dajęć na noc dzisiejszą zwolnienie ze służby.

Ksiądz skłonił się i wyszedł na korytarze zamkowe, za nim posunęło się pacholę, wziąwszy do rąk pochodnię, którą zażegło u dopalającego się ogniska.

Wojewoda pozostał sam —

Stał chwilę z lewą ręką za pas założoną, z prawą opartą o stół.

— Maryna — szepnął.

Zapatrzył się w ciemność — —

— Żadna ci z hurys tatarskich takim płomieniem nie pali... Stokroć zimniejszą krew, niż moja, w ogień przemieni, w żar... A każde spojrzenie—niebo! a każdy uścisk—czar!...

Na ustach wojewody uśmiech zadrgał, a serce uderzyło młotem.

Stał jeszcze chwilę — poczem poruszył się, zbliżył się do przygasłego komina, przewrócił klepsydrę na nim stojącą, w której właśnie ostatnia nitka piasku się urwała. Powoli przesunął się wzdłuż komnaty, dwie izby jeszcze przeszedł i wszedł do sypialni małżeńskiej, pełnej sprzętów i gratów niewieścich, przesyconej zapachem ziół i kadzideł, oblanej czerwonym blaskiem ognia, palącego się na kominku kamiennym.

Dziwnie pusto było w tej komnacie, dziwnie chłodno, pomimo płonącego ogniska. Pan Włodek od dnia choroby małżonki swojej opuścił wspólną łożnicę i do dalszych izb się przeniósł. A było to przed wiosną jeszcze.

Na łożu o wysokich poręczach, pod karmazynowym baldachimem, okapującym frędzlami i kutasami złotymi, leżała piękna, młoda małżonka imci pana wojewody Włodka. Na białej pościeli i poduszkach koronkowych rysowała się jej postać wątła, blada, przesycona jakiemś światłem wewnętrznem, niby lampa alabastrowa, ukrywająca w sobie płomień już dogasający. Ni babyznachorki, ni medycy, ze stołecznego grodu ziemi krakowskiej sprowadzani, nie mogli rozpoznać choroby pani wojewodziny. Bez szemrania i oporu poddawała się wszelkim badaniom lekarzy i lekarek. Potrzebująca pomocy sług i męża, ni męża, ni sług nie wzywała, by nie zobaczyć ust niechętnie skrzywionych, przykrego wzruszenia ramion, zniecierpliwienia się najlżejszego. Dni i noce pozostawała sama z myślami, rzadko wyciągając wątłe palce do dzwonka, by srebrnym dźwiękiem jego zawołać którą z panien dworskich lub dziewek służebnych. (d. c. n.)

OD REDAKCJI.

Wobec 100-ej rocznicy urodzin, poświęcamy niniejszy numer w znaczniejszej części Zygmuntowi Krasińskiemu, zmuszeni więc jesteśmy odłożyć dalsze ciągi powieści Gąsiorowskiego oraz noweli Gomulickiego i Kadena—do nast. numeru.

Hr. Henryk czy Pankracy? *)

Ideje polityczne Krasińskiego miały i mają zwolenników. Właściwie to, co dziś pod wpływem czasu zmieniło się w chrześcijańską—demokrację, było kiedyś niczem innem, jak zbiorem tych idei, które wyznawał Krasiński. W „Nieboskiej", „Przedświcie", „Psalmach" przeprowadza on bowiem myśl o uchrześcijanieniu form bytu i współżycia społecznego. Zaznacza przytem zwierzchnictwo pierwiastku miłości nad walką, w której żyją narody, a nawet ludzkość cała. Co jednak wyróżnia świat idei Krasińskiego od współczesnych chrześcijańskich, społecznych programów, to tendencja w kierunku odrodzenia arystokracji i dania jej zwierzchnictwa nad losami całego narodu. Dziś w doktrynach społeczno-chrześcijańskich takie tendencje są starannie przemilczane; głosi się chrześcijańską miłość i w tem haśle pomija się nawet jakości narodowościowe. Wybitnym przykładem takiej chrześcijańsko-społecznej fantazji jest cała działalność Lwa Tołstoja.

Zapytany, do jakiej narodowości należy — odpowiedział — „do żadnej"! „Jestem chrześcijaninem", a wiara taka znosi wszystkie różnice stanowe, narodowe." Możliwe, że takie stanowisko wobec siebie i narodu da się w chrześcijański sposób uzasadnić, ale uzasadnienie to nic nie zmieni na powierzchni ziemi, nie unicestwi granic, ani też da wolność natychmiastową gnębionym narodom. Praktyka, rzeczywistość społeczna zaprzeczy w zupełności tym uzasadnieniom. Narody istnieją, istnieją stany — a więc musimy się z tem liczyć. Co więcej, my Polacy do narodowościowego czynnika musimy daleko więcej przywiązywać wagi, niż ludy wolne, państwowe. W świadomości bowiem narodowej leży fundament naszych marzeń o lepszem jutrze, jak i miłość dla pracy naszych pradziadów. Przez poczucie narodowości musimy wypracować kształt taki z naszych zamierzeń, któryby w zupełności odpowiadał potrzebom rozwoju naszego w kulturze i historji ludzkości.

W Krasińskim, szczęśliwie, odczucie narodowości przerastało nawet jego teorje chrześcijańsko-społeczne. Najciekawsze są stronice jego pism, gdy pełną piersią mówi o swojej polskości. A zresztą i okres, w którym tworzył, był czasem budzącym na całym obszarze Europy świadomość patrjotyczną, co zabarwiło jego teorje



ZYGMUNT KRASIŃSKI.
Litografja podł. rys. Scheffera. Ze zbiorów Hieronima Wildera.

w mesjaniczne posłannictwo narodu naszego. Był on przytem „trzeźwiejszy" w swoich rozmyślaniach od Tołstoja. Posiadał wybitny zmysł historyczności, a więc tylko w dalekiej perspektywie przyszłych dziejów widział zrealizowanie się chrześcijańskich ideałów w całej pełni. Od współczesności swojej wymagał tylko, by pracę swoją zabarwiała chrześcijanizmem w szrankach narodowych.

Wyraźnym wskaźnikiem w tym kierunku może posłużyć „Nieboska komedja". Już w tym utworze rozpoczyna się turniej idei, który poźniej ciągle się powtarzał, aż kiedyś przybrał formę publicznej dyskusji poetyckiej, jaka się rozegrała między nim a Słowackim. Znana jest odpowiedź Słowackiego—wyrzucająca poecie, że się zląkł szlachecki syn — Krasiński. Zalecając chrześcijanizm, powinienby się zrzec „przesądu" klasowego, jest jednak inaczej. Z szlachtą polską, polski lud — to nic innego, jak, pod opieką możnych, będzie lud walczył o prawa narodowe. O prawach ludzkich — mowy niema. Na idylicznem westchnieniu kończy się program Krasińskiego, jeżeli chodzi o prawa człowieka. Żadnego realnego projektu, żadnej nawet chęci ponad słowo „miłość" — Krasiński nie wyrzekł. I dlatego nie usamowolnił włościan swoich, gdy jego współcześnicy, nie czekając na manifesty rządów, dawno zaprowadzili w swoich wioskach porządek europejski.

Charakterystyczne, że już w „Nieboskiej" nie umie odpowiedzieć hr. Henrykowi — Pankracy, gdy ten mu replikuje:

„Ani ty, ani żaden z twoich by nie żył, gdyby ich nie wykarmiła łaska, nie obroniła potęga ojców moich. Oni wam wśród głodu rozdawali zboże, wśród zarazy stawiali szpitale. A kiedyście z trzody zwierząt wyrośli na niemowlęta, oni wam postawili świątynie i szkoły;— podczas wojny zostawiali doma, bo wiedzieli, żeście nie do pola bitwy."

Mówi to hr. Henryk już po bohaterstwie Głowackiego, po poświęceniach Kilińskiego. Oskarża, że są „nie do pola bitwy" po rewolucji francuskiej, po wojnach napoleońskich. Przeczy rzeczywistości, którą tak ukochał Kościuszko. Zresztą zwycięstwo Pankracego przekreśla w zupełności te słowa. Czyn więcej świadczy, niż głośne oskarżenie.

Powstaje pytanie — kto jest bliższy dla nas: Hr. Henryk czy Pankracy? który z programów więcej odpowiada naszym zadaniom współczesnym. W Henryku jest przywiązanie do rodzinnych pieleszy, ale też i nieczułość na pracę, na walkę socjalną pokoleń. Pankracy zaś—cały dyszy zemstą, głośne słowa nienawiści nie kryją w sobie, poza zniszczeniem, żadnej treści. I dlatego, gdy zwyciężył „okopy" — stanął bezradny wobec zadań twórczych. Skończył swoją niszczycielską misję i nie znajduje niczego, czem mógłby poprowadzić dalej swoje zwycięskie zastępy. Jak w Henryku brak orjentacji w klasach upośledzonych prowadzi go na basztę,

*) Wyraźnie zastrzegamy, że artykuł niniejszy dotyczy jedynie Krasińskiego — polityka, nie zaś Krasińskiego — gienialnego poety.

tak w Pankracym niezrozumienie realnych potrzeb całego społeczeństwa—zawiesza całą jego działalność nad próżnią. Koniec końców, Henryk jest nieporozumieniem wśród arystokracji. Pankracy zaś schlebiaczem nizkich instynktów tłumu. Wyraźnej misji reformującej społeczeństwo w jego niszczycielskiej walce nie ma. Jestto rozrachunek za krzywdę, ale bez jasnego planu działania po tym rozrachunku. Pankracy nie wie, jak należy przekształcić społeczeństwo, by umożliwić spółżycie wszystkim stanom. Wykonywa swoje dzieło zemsty i na tem koniec jego posłannictwa.

A więc rozumie się, że tak Henryk, jak i Pankracy nie może dziś nikogo zadowolnić. Ani jeden, ani drugi we współczesności, nie mogą znaleźć posłuchu. Hasła bowiem harmonji i solidarności stanowej są tym ludziom obce.

Wracając do dalszego wyjaśnienia myśli społecznej Krasińskiego, musimy też zastrzedz się, że jego wielka miłość nie ma nic wspólnego z programem solidaryzacji. Krasiński wychodził z założeń etyki, i tem chciał regulować funkcje społeczne. Współczesność, nie odrzucając moralności, jako jednego z czynników, kładzie również nacisk i na interes społeczny. Z punktu więc zrozumienia interesu ogólnego — powstają hasła solidarności klasowej, a każdy obywatel współpracuje w tendencjach samoobrony narodowej, kulturalnej, ekonomicznej, bo ma przed sobą interes narodu na oku.

. . . .

Minęło lat przesło 50 od chwili, gdy Krasiński myślał nad swojemi teorjami społecznemi. Że się z nim nie zgadzamy, nikogo to przecież dziwić nie powinno. Życie pędzi wartkiem korytem, tworzy nowe hasła, gdyż nowe potrzeby rodzi rozwój społeczeństw. I dlatego dla nas polaków — jedno hasło pozostanie wiecznie ważne:

Trzeba z żywymi naprzód iść
Po życie sięgać nowe...

gdyż w tem kryje się nasza przyszłość.

Z MUZYKI.

Nie każdy tydzień obfituje w tak wielką ilość atrakcji artystycznych jak ubiegły, to też pełno było w Filharmonji, pełno w Teatrze Wielkim. Cichy karnawał znakomicie wpływa na powodzenie popisów muzycznych. Karnawał... ludzie chcą



MIECZYSŁAW KARŁOWICZ.
(Z powodu koncertu poświęconego twórczości tragicznie zmarłego kompozytora).

się bawić, znajdują więc szlachetną rozrywkę w koncertach, którymi szczodrze darzy nas obecny sezon.

Już dawno nie pamiętamy tylu i takiego doboru koncertów.

Wielkie zainteresowanie wzbudził koncert w Filharmonji, poświęcony twórczości przedwcześnie zgasłego, wielkiego kompozytora Mieczysława Karłowicza. Dziś jeszcze grozą przejmuje ta śmierć tragiczna—fatum nieubłagane—śnieżną lawiną kładące kres niepospolitemu życiu artysty, wśród ukochanych przezeń Tatr!

W pierwszej części mistrz Barcewicz z zwykłym artyzmem odtworzył „Koncert skrzypcowy“ przy akompanjamencie orkiestry. Drugą część rozpoczęło „słowo wstępne“, zbyt może cicho wypowiedziane, przez p. H. Leśniewskiego.

Głębią kompozycji i natchnienia wiodły nas w tajnie wiekuistej tęsknoty, miłości i śmierci w zagadnienia wszechbytu— „Odwieczne pieśni“ kompozytora-poety.

W „Rapsodji Litewskiej“ jakże po mistrzowsku, z jakiem zrozumieniem i odczuciem oddał Karłowicz smętny nastrój wiosek litewskich! Śpiew rozlegający się wieczorem wśród równin litewskich, gdy żeńcy powracają z roboty, płynął tonami smutnego zawodzenia do serc naszych, to znów odzywały się surmy, gdy późnym wieczorem pastuszkowie pasą konie na rozległych łąkach.

Krótkie piosnki Karłowicza odtworzyła młoda, utalentowana uczennica prof. Myszugi, p. Marja de Teissayre. Głos świeży, dźwięczny, dykcja wyraźna, rokują młodej śpiewaczce jaknajlepsze nadzieje na przyszłość.

Koncert Ysaye'a i p. Marji Wieniawskiej... O Ysaye'u trudno zaiste pisać, zaczarowane jego skrzypce cudem tonów podbijają serca i dusze nasze, w tej grze fenomenalnej wszystko jest co tylko może postawić wirtuoza na wyżynach gienialności.

Gwiazda na horyzoncie artystycznym p. Marja Wieniawska, córka Muromcewa, nieodżałowanego prezesa I-ej Dumy, żona Adama Wieniawskiego, kompozytora, po raz pierwszy wystąpiła w Warszawie, odrazu zdobywając sobie sympatję publiczności. Obdarzona ładnym sopranem o



MARJA de TEISSAYRE
młodziutka śpiewaczka, rokująca najpiękniejsze nadzieje na przyszłość.

podkładzie koloraturowym, z niezwykłą inteligiencją i subtelnością odtworzyła szereg utworów, których dobór świadczy wymownie o jej wysokiej kulturze ar-

tystycznej. Skala głosu niezwykle obszerna a nuty wysokie, dźwięcznie i bez wysiłku, wyrzuca świetna śpiewaczka. Z rzadkim artyzmem akompanjował na fortepianie prof. M. Bichter.



MARJA WIENIAWSKA
sławna śpiewaczka estradowa.

Z własnym koncertem w szczelnie zapełnionej sali Teatru Wielkiego, wystąpił ulubieniec Warszawy, Józef Śliwiński. Artysta doskonale usposobiony, odegrał z towarzyszeniem orkiestry pod batutą p. Cimini'ego — piękny koncert Schumana, w którym podziwialiśmy nadzwyczajną miękkość uderzenia i niezrównaną technikę.

Do najwyższego jednakże wyrazu artyzmu wzbija się Śliwiński przy odtwarzaniu Chopina, odczuwając z niezwykłą subtelnością nastrój każdej kompozycji. Efektownemi kompozycjami Liszta, wymagającemi wielkiej techniki, zakończył p. Śliwiński piękny swój wieczór, dodając nad program walca i balladę Chopina.

Nie sposób nie wspomnieć o porankach muzycznych, które urządza Filharmonja, o porankach mających doniosłe znaczenie z tego względu, że są przecież przystępne dla najszerszych warstw. Na ostatnim z tych koncertów - poranków wyróżnił się uczuciem, techniką i czystością gry, p. Wojciech Dłutowski, pierwszy skrzypek W. O. S., to też zasłużenie obrzucono go kwiatami.

Owacyjnie przyjmowany był na koncercie symfonicznym Jacques Thibaud, jedna z niepoślednich gwiazd świata artystycznego. Poza czystością tonu, techniką i subtelnem frazowaniem, należy podnieść i zrozumienie charakteru danego utworu.

Młodociany artysta, p. Tołkacz, zaszczytnie wyróżniony na popisie w Petersburgu o czem pisaliśmy (patrz № 6) wystąpił w Filharmonji — jako wirtuoz i kompozytor. Technikę wykazał nadzwyczajną, brak jednak jeszcze subtelniejszego odczucia utworu, kompozycje natomiast dobrze budowane nie posiadają jeszcze cech indywidualności. Pan Tołkacz ma przed sobą przyszłość — może nawet wielką, lecz ma dopiero lat... 18 — 19 i radzimy niech nie przyjmuje ofiarowywanego miejsca profesora w szkole muzycznej w Carycynie, niech się tam nie zasklepia, lecz niech jedzie za granicę i kształci się dalej u pierwszorzędnych mistrzów.

Pani Wysocka, znakomita aktorka, na tymże koncercie z tragiczną grozą deklamowała przy akompanjamencie orkiesty balladę Fibicha „Wodnik“. Wrażenie było wstrząsające.

Z.

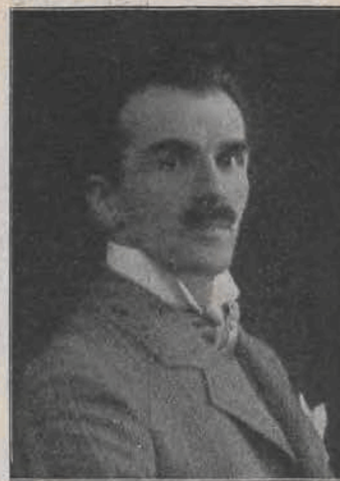


Król skrzypków—YSAYE.
Podobizna uchwycona ołówkiem podczas koncertu.

TEATR.

„Ugłaskanie sekutnicy“. „Nowicjusz“.

Było to za dawnych arkadyjskich czasów. Ludzie pieprz jedli, jak czekoladę, a koszula nie przywędrowała jeszcze z piasków Arabji. Śmiano się też, śmiano, że aż dziś jeszcze ten głośny śmiech rozbrzmiewa, jak fanfara zwycięska. Szekspir w swojem „Ugłaskaniu“ przeniósł się z mglistych brzegów Tamizy nad średniowieczny brzeg włoskiej walhalli i dał nam wieczór owego głośnego, zaraźliwego śmiechu. Już pierwszy obraz tryska humorem, drugi ten humor tak potęguje, że widz śmieje się bez przerwy. Szczególnie, gdy patrzy na twarz zdziwionego Szlai. Upił się i otwiera oczy nie wiedząc, co się z nim stało, że leży na bogatem posłaniu, otoczony dworzanami... To przyglądanie się było kapitalne! Szkoda, że Szekspir zapomniał o Szlai w dalszym ciągu akcji, chociaż prolog niema znaczenia dla całej późniejszej fabuły. Możliwe, że Szekspir nie mógł bezpośrednio w teatrze kpić z zakochanej, rachitycznej szlachty, a więc wprowadził prolog, by urządzić teatr w teatrze. Mówił już nie jako Szekspir, lecz jako ktoś, kto patrzy w twarz Szlaja i zapisuje jego groteskowy sposób widzenia wszystkiego, co się dzieje w życiu. Taki kalembur uwalniał od oskarżenia, że Szekspir chce sobie požartować z grandów włoskich, no i... kobiet. Tylko bowiem prostak Szlai mógł tak upokorzyć kobietę, jako to zrobił później Petrycy. Szekspir—twórca Hamleta, oddał swoje pióro rubasznemu szewczynie-pijakowi i napisał żart, który moralizuje już przez cztery wieki kapryśne kobiety. No, bo czyż to „ugła-



JÓZEF ŚLIWIŃSKI
znakomity pianista, nieporównany odtwórca Chopina.

skanie sekutnicy" nie jest lekcją... skromności dla wszystkich „samodzielnych" „pół-kobiet" — „pół-ludzi", zacietrzewionych feministek i złośnic wszystkich stanów i kondycji socjalnych.

Teatry warszawskie grywały „Ugłaskanie sekutnicy" pod tytułem bardziej wyraźnym. Publiczność przyzwyczaiła się do „Poskromienia złośnicy", co mówi lepiej o zamiarach Petrycego, niż „ugłaskanie".



Teatr Letni. Scena z „Nowicjusza".

Aktorzy teatru Zjednoczonego grali doskonale. Znać wytrawną rękę p. Zelwerowicza, która nawet drugorzędne talenty umiała postawić na wyżynach zadania. Wystawa oryginalna— dostrojona do kamertonu groteskowej interpretacji. Dobrym był p. Małkowski, no i p. Arkawin, jako sekutnica. Tryumfalny wjazd na „sztucznym" koniu wzbudził w publiczności homeryczny śmiech. Nie wiem kto więcej bawił publiczność, czy zabawny koń, czy też p. Zelwerowicz? A może obydwaj zestroili się ze sobą w homeryczną całość?!! Ten obrazek każdy powinien zobaczyć. Zapomni napewno o wszystkich naszych doczesnych kłopotach.

Teatr w Ogrodzie Saskim dał znów farsę, co się zowie i obsadził role bajecznie. Już dla samego p. Fertnera trzeba iść do teatru. Jak ten człowiek umie rozśmieszać, jak potrafi wytrawić smutek jednym giestem z widowni. W naszych smutnych czasach taki aktor, jak Fertner powinien być czczony, niby jasny brzeg riviery w słotną, deszczową jesień, lub zimę. „Nowicjusz" — w którym grywa obecnie ten kochanek wszystkich wesołych dusz—to farsa angielska, specjalnie londyńska. Napisał ją Law—by aktorowi potrzebującemu masażu bezpłatnie dostarczyć go na scenie. Biją też p. Fertnera zapamiętale, biją— a publiczność śmieje się z ludzkiego bólu. Obok p. Fertnera, bawi p. Leszczyńska i p. Gasiński. Jakiż z tego Gasińskiego bajeczny pedagog! Wszystkie zakłady naukowe powinny wziąć poglądową lekcję pedagogiki od naszego komika. Pan Kamiński, jako farsowy amant, miłość śpiewał zapamiętale. Panna Janecka szczebiotała z wdziękiem i poezją.

Reżyser, p. Śliwiński, nie zaprzestaje z żywością i temperamentem dostarczać Warszawie — wszystkich europejskich „Nowicjuszy" za co należy mu się uznanie. *E. C.*

2) ZE SZTUKI.

(Zbiorowe wystawy w Tow. Zachęty Sztuk Pięknych).

Dokończenie.

Stoimy więc przed bogatym dorobkiem 4-ch artystów: Teodora Rygiera, Kazimierza Lasockiego, Bolesława Buyki i Tadeusza Cieślewskiego. Pierwszy z nich, jubilat, nestor rzeźbiarzy polskich, dawno już zdecydowanie wypowiedział ostatnie słowo o sobie, pozostali — młodsi, wciąż jeszcze rozwijają swe talenty i indywidualności.

Profesor Teodor Rygier należy do najciekawszych organizacji artystycznych, jakie kiedykolwiek świeciły na horyzoncie rzeźby polskiej. Trzy, bowiem wspaniałe wartości złożyły się na nią: talent olbrzymi, praca tytaniczna i głęboka wiedza twórcza. Przez długie lata Rygier sam jeden niemal, zaszczytnie dzierżył sztandar Fidjaszowej sztuki, pobudzając do życia jakby letargicznie wówczas uśpioną polską rzeźbę i wywalczając jej u nas godne uwagi stanowisko.

Owoce kolosalnej pracy Rygiera są bardzo liczne i jeszcze bardziej imponujące: pomnik Mickiewicza w Krakowie, tryumf Jana III-go, płaskorzeźba w katedrze poznańskiej, grupa na gmachu sejmu lwowskiego, biusty: Kraszewskiego, Bakałowiczowej, Lenartowicza, Jul. Kossaka i t. d. i t. d. Złotym medalem zaś nagrodzony został artysta za biust Kopernika na wystawie międzynarodowej w Berlinie.

Rygier jest akademikiem w Bolonji, Florencji i Petersburgu i o tem winno pamiętać nasze społeczeństwo.

Biusty Poppei i Julietty robiły w swoim czasie furorę w całej Europie. Szkoda tylko wielka, że mało kto z mieszkańców

syreniego grodu wie, że autorem 12 ślicznych figur przy domu Grancowa (od Królewskiej), jest właśnie prof. Teodor Rygier.

Obecna wystawa znakomitego jubilata jest niestety niekompletna, ale mimo wszystko można ją zaliczyć do jednej z najbardziej świetnych w dziedzinie rzeźby polskiej.

A teraz przejdźmy do malarstwa.

Lasocki jest bezwzględnym realistą. Każdy najdrobniejszy szczegół, podnoszący walory naturalizmu, zaznacza z ogromnym pietyzmem dla prawdy, każdą subtelność przejawu natury akcentuje uważnie i skromnie, jakgdyby lękał się szarży i fałszywej brawury. Pejzaże jego mają wszystkie zalety doskonałych podobizn, pejzaże jego, powiedziałbym, są niemal kopjami rzeczy widzianych a przytem wszystkiem są interesujące i plastyką swą decydują wyrazistość nastroju.

Na zasadzie dużych wiadomości, pracowicie zebranych i popartych niezaprzeczoną techniką, Lasocki potrafi utrzymać każdą rzecz w charakterze. Zawsze wie o co mu chodzi i czego w danym razie należy wymagać od siebie. Wszystko opiera na obserwacji i jedynie na wrażeniowej refleksji. Najbardziej kocha pejzaż, ten rodzinny, polski pejzaż, z całym swym sentymentem i dziwną zadumą przymglonego nieba.

Lubię woły Lasockiego, bo mają psychologję „wołową“. Patrzą swemi poczciwemi oczami i są przy tem doskonale skonstruowane. Na tle swojskich perspektyw wyraziście akcentują się ich dosadne całokształty, ba, nawet rasy gatunków.

Ale portrety Lasockiego robią słabsze wrażenie i psują tylko harmonijną całość wystawy.

Teraz, z kolei, akwarele Bolesława Buyki. Przepyszne, z rozmachem notowane obserwacje artysty, którego nawet Paryż już „uznał“.

Buyko zadziwia techniką. Przy całym swym ogromym, żywiołowym talencie, jestto przedewszystkiem wirtuoz pierwszorzędny, nieustraszony w eksperymentach. Najbardziej trudne i ryzykowne rzeczy wyraża kilkoma pociągnięciami pendzla. Dąży do celu mimo wszystko, nieraz może za brutalnie, ale w tem czuje się szczerego artystę, który z zamierzonej drogi nie zejdzie i doskonali się z dniem każdym.

Operując nawet bardzo skromnymi środkami, Buyko zwycięża kolosalne trudności szybko i pewnie. Jego chmury, oparte tylko na plamach i odpowiednich zestawieniach kolorów, grają bogactwem światła, a, gdy zechce, kontrastem nizkiej skali barwnej. Ma głęboki, szlachetny ton i dar orjentacji, ma wrażliwość na subtelności nastrojów, ma konstrukcje i rysunek. W polskiem malarstwie prócz Fałata i Wyczółkowskiego niema chyba akwarelisty tej miary.

Róże Buyki są trochę sztywne i pozbawione świeżości, ale jego fragmenty Paryża, zwłaszcza



Ks. biskup Kazimierz Ruszkiewicz
skazany na rok i 4 miesiące twierdzy.
(Sprawa sądu arcybiskupiego).

kilka perspektyw z katedrą Notre-Dame, mają wszystkie zalety świetnych, europejskich pejzażów.

Tadeusz Cieślewski, malarz pamiątek i zabytków, wystawił szereg prac, świadczących o szczerym talencie artysty, rozwijającym się z największą siłą w obranym właśnie kierunku. Architektonicznie ciekawe domy i domki starych dzielnic naszych miast oraz historyczne zabytki naszej sztuki, znalazły w nim zamiłowanego odtwórcę. To właśnie za największą zasługę należy poczytać Cieślewskiemu, wskrzesza bowiem w pamięci naszej wszystko co żyć w niej powinno gorącem wspomnieniem, ze względu na historję rozwoju naszej kultury i nasze tradycje.



Ks. Antoni Ciepliński
skazany na rok i 4 miesiące twierdzy.



Ks. Juljan Roczkowski
skazany na surową naganę.

(Sprawa sądu arcybiskupiego).

Po niezwykłej sprawie.

Sprawa sądu arcybiskupiego ze zrozumiałych powodów zainteresowała nasze społeczeństwo. Wyczekiwano wyroku—wyrok zapadł... Skazano ks. biskupa Kazimierza Ruszkiewicza i ks. Antoniego Cieplińskiego, obrońcę Sakramentu małżeństwa, każdego na rok i 4 miesiące twierdzy, ks. Juljana Roczkowskiego i ks. Pląskowskiego—na surową naganę. Co do ks. biskupa Ruszkiewicza, sąd postanowił wystąpić z prośbą o zamianę powyższej kary na złożenie z urzędu. Ks. biskupa bronił mecenas Pepłowski, naj-



Adolf Pepłowski
adw. przys., najznakomitszy obrońca polski.

znakomitszy przedstawiciel naszej palestry, którego wszystkie wybitniejsze mowy obrończe niedługo uwiecznione będą w wydaniu książkowem, czem zajęło się już specjalne konsorcjum z pomiędzy prawników.

Sprawa sądu arcybiskupiego znajdzie się jeszcze w następnej instancji.

Ś. p. Jadwiga Krausharowa.

I znów nam ubyła jedna z gorących obywatelek naszego kraju, kobieta o instynktach społecznych tak szeroko rozwiniętych, że właściwie cała jej istota była umiłowaniem spraw publicznych i narodowych. Będąc przytem umysłem niepospolitej miary, w życiu naszego miasta odgrywała rolę wybitną.

Ś. p. Jadwiga Krausharowa była żoną zasłużonego historyka Aleksandra Kraushara i matką Zuzanny Rabskiej, nowelistki i poetki. W młodości swojej napisała kilka utworów powieściowych („Jedna noc na Monte Pincio"). Później przez jakiś czas uprawiała krytykę literacką. Znane są jej studja o Brandesie i Kierkegaardzie, Kiellandzie i o Alfredzie de Musset. Resztę życia poświęciła pracom społecznym. Hasłem jej było: Niema nic nad Polskę! I dla tego z szacunkiem i czcią żegnamy jej prochy.



Ś. p. Jadwiga Krausharowa.

Odznaczenie profesora.

Cesarz austrjacki nadał zasłużonemu profesorowi prawa polskiego Oswaldowi Balzerowi we Lwowie, honorową odznakę dla sztuki i umiejętności.

W roku ubiegłym skończyło się 25 lat szlachetnej pracy czcigodnego profesora. Wszakże dzień święta tego zeszedł cicho i bez obchodu jubileuszowego... a wielkie przecież zasługi położył Balzer, gdy nie jedno pokolenie i tysiące słuchaczów zawdzięcza mu znajomość prawa polskiego i historji.



Prof. Oswald Balzer.
(Z powodu honorowego odznaczenia).

Prace jego w wydaniach książkowych oddają nieraz bezcenne usługi wielu badaczom, przy naukowych i historycznych poszukiwaniach.

Przegląd polityczny.

Długo chodziły wersje, że koło polskie w Berlinie nie będzie głosowało przy wyborze prezydjum parlamentarnego. Gdy jednak przyszło do wyborów ścisłych między centrowcem Spahnem, a socjalistą Beblem— dzięki tylko głosom polskim zwyciężył kandydat czarno-błękitny. Wiceprezesurę pierwszą otrzymał natomiast socjalista Scheidemann, bo w tych wyborach koło faktycznie nie uczestniczyło; popierano go też przez narodowych liberałów niemieckich. Wzamian za głosy Scheidemanna — poparto narodowego liberała Paaschego przy wyborze na drugiego wiceprezesa.

Wybór Spahna, zdobyty tylko dzięki głosowaniu polaków, spotyka się w prasie robotniczej niemieckiej z oburzeniem. Posłowie socjalistyczni nigdy nie głosowali za wyjątkowemi prawami w stosunku do naszej narodowości i zawsze byli w parlamencie głosem sumienia niemieckiego. Można nie podzielać przekonań socjalistycznych, ale z dwojga złego, stokroć razy sympatyczniejszą dla dążeń naszych narodowych jest obrończa tradycja Liebknechtów, niż lisia, hakatystyczna działalność Spahnów.

Cesarz Wilhem wybór Scheidemanna wziął, jako manifestację przeciw swojej osobie. Dwa lata bowiem temu oskarżał Scheidemann pruski dom panujący, że podstawową tradycją istnienia tego domu jest łamanie danego słowa. W każdym razie wybory do prezydjum zrobiły wielkie wrażenie w Niemczech nie tylko na cesarzu Wilhelmie. Ton dzienników robotniczych rozbrzmiewa trjumfem a prasa mieszczańska wcale nie smuci się upadkiem przewagi feodalnej.

Wizyta Haldana w Berlinie stała się powodem licznych komentarzy, chociaż Haldan zaprzeczał, że przybył w jakiej-

kolwiek misji politycznej. Przyjmowano go okazale i przyjaźnie. Wywiózł przeświadczenie, że Niemcy nie mają zamiaru zkwitować z uzbrojeń morskich i lądowych.

Kwestja chełmska wciąż nie schodzi z porządku dziennego i burzy krew słowiańskim działaczom — rosjanom. Ostatnio znany słowianofil pr. Filewicz oburzył się na Kramarza, który „śmiał w tej sprawie głos zabrać". Przecież wedle opinji Kramarza, sprawa wyodrębnienia Chełmszczyzny jest „kwestją honoru i prawa narodowego Rosji". Nikt nie przypuszczał przed dwoma laty, że słowianofile, aż tak daleko zajdą w swoich „ukochaniach" słowiańskich.

Roosevelt nie dał za wygraną Taftowi i znów wysuwa coraz energiczniej swoją kandydaturę na prezydenta stanów zjednoczonych. Już zdążył zdobyć poparcie siedmiu gubernatorów i 24 przedstawicieli republikańskich. Należy mieć nadzieję, że niezadługo będzie miał jeszcze większą ilość zwolenników. Niemcy — pewno będą z tego wyboru zadowoleni, jeżeli przyjdzie do skutku.

Stosunki między Rosją i Austrją mają uledz zmianie na lepsze, po wizycie, którą ma złożyć Wiedniowi Wielki Książe Andrzej Włodzimierzowicz. „Nowoje Wremia" nie przywiązuje jednak do tej wizyty wielkiej wagi i sądzi, że tylko po zmianie austrjackiej polityki w stosunku do Galicji, można się spodziewać jakich mocniejszych węzłów przyjaźni.

* * *

Telegramy ostatnie przyniosły znów niespodziankę. Dr. Spahn zrzekł się wyboru, wobec czego przewodniczył po raz pierwszy w „reichstagu" socjalista Scheidemann. Nowe wybory prezydującego odbędą się prawdopodobnie jeszcze w tym tygodniu. Kandydaci dotychczas nie wiadomi. Paasche też zrzekł się godności drugiego wiceprezesa.



Olbrzymie zgromadzenie przed Sejmem. W głębi przemawia poseł Daszyński.

Olbrzymie zgromadzenie przed Sejmem.

Dnia 11 b. m. odbyło się olbrzymie zgromadzenie przed Sejmem lwowskim. Tysiączne tłumy w zwartych szeregach stanęły, ramię przy ramieniu, by u wrót bram kołatać... o czteroprzymiotnikowe prawo wyborcze dla kraju.

Z mówców zabierali głos posłowie—Daszyński, Wityk, Diamand i in., poczem ruszono pod pomnik Mickiewicza, gdzie—po wygłoszeniu mów—zgromadzeni się rozeszli.

Jaknajprędzej powinnoby przejść przez Sejm słuszne żądanie ludności.

Wiele, wiele spraw nie jest jeszcze załatwionych, choćby uchwalenie budżetu większego dla ulżenia nauczycielskiej doli, o czem w swoim czasie pisaliśmy.

Ucieczka Rawickiego.

Wielką sensację wzbudziła ucieczka Rawickiego, właściciela domu bankowego w Warszawie.



B. Rawicki
bankier. Uciekł, zarwawszy setki ludzi na kilkakroć sto tysięcy rubli.

Pasywa sięgają setek tysięcy rubli, a wiele osób, które zaufały wspomnianej firmie bankierskiej, utraciło całkowite swe mienie. Rawickiego widziano w kraju po raz ostatni, gdy przejeżdżał przez Aleksandrów, dalsze ślady za nim zaginęły. Wszędzie energicznie poszukują zbiega.

Przestroga — należy być bardzo ostrożnym, lokując kapitały.

Figle chochlika.

SPROSTOWANIE.

Chochlik drukarski nie mogąc zaszkodzić nam podczas korekty № 8, inną obrał drogę, dostawszy się do elektromotoru jednej z czterech maszyn, które w nocy z 8 na 9 pośpiesznie drukowały „Złoty Róg". Wskutek zepsucia się elektromotoru i kilku gwałtownych szarpnięć—walce wyrwały trzcionki, dyżurny zaś zecer, poprawiając naruszone formy drukarskie, w jednem miejscu wstawił pod reprodukcją rzeźby prof. Teodora Rygiera — *Tadeusz* zamiast *Teodor* i w drugiem pod portrecikiem w podpisie „Alfons Parczewski poseł ziemi Kaliskiej, obrońca Lubelskiej"—opuścił słowa „Kaliskiej, obrońca" i wyszedł błąd „Alfons Parczewski poseł ziemi Lubelskiej". Wspomniana psota chochlika blizko w połowie nakładu ślady pozostawiła.

Odpowiedzi Redakcji.

P. W. Wolsk w Szałajewsk. gub. Jenisejska. Może sz. panu zechce pożyczać nasze pismo jeden z Jego kolegów, prenumerujący takowe w tejże miejscowości.

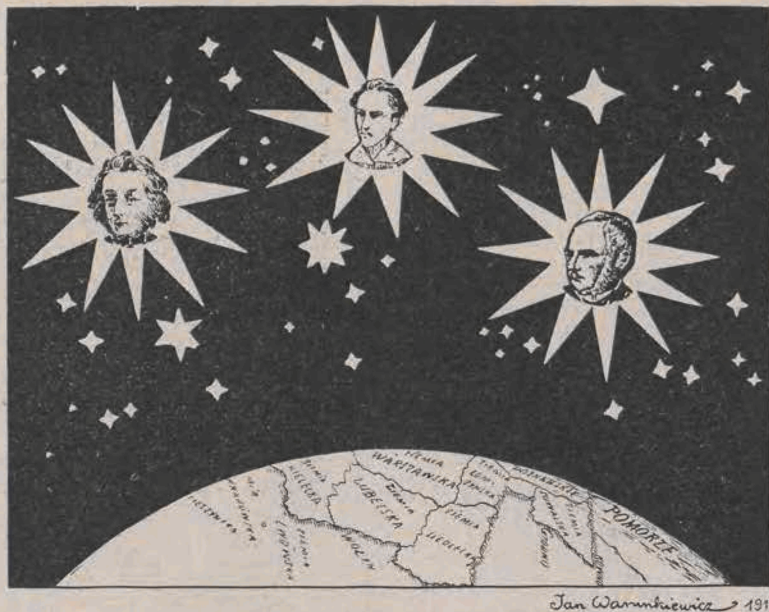
P. Autorowi „Zimy" i „Felczerki". Nowelki pańskie nie nadają się do naszego pisma.

P. M. Jancz. w Szczyt. Pismo, o które Sz. Pan pyta, nazywa się „Dzień". Ideowo stoi na stanowisku antyżydowskim.

P. Edw. From. Przekład nie nadaje się do druku.

P. M. Wiszn. Wiersze świadczą o łatwości, z jaką Sz. Pan je pisze, lecz do druku jeszcze się nie nadają.

REBUS DO NAGRODY.



Rozwiązania w przeciągu dni 14-tu od daty dzisiejszej, należy nadsyłać na pocztówkach do redakcji „Złotego Rogu" Mazowiecka 5. Jako pierwsze dwie nagrody przeznaczamy książki z bibljoteki redakcyjnej, trzecia nagroda—nadesłane pocztówki.

ROZWIĄZANIE ŁAMIGŁÓWKI W Nr. 5.

Zygmunt Krasiński—Nieboska komed(y)ja.

Nazwiska czytelników, którzy przysłali dobre rozwiązania, celniejsze rozwiązania wierszem i nazwiska nagrodzonych, zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnoszeniem do domu, rocznie rb. 4.—	półr. rb. 2.—	kwart. rb. 1.—
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt. „ „ 4.60	„ „ 2.30	„ „ 1.15
Za granicą i za oceanem „ „ „ „ 5.—	„ „ 2.50	„ „ 1.25
W Austrji i Galicji „ „ „ 12 kor. 50 h.	„ 6 kor. 50 h.	„ 3 kor. 30 h.
Numer pojedyńczy kop. 10 — halerzy 25.		Zmiana adresu — 20 kop.

Przybywający prenumeratorowie otrzymują komplety.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „ZŁOTEGO ROGU" w Warszawie Mazowiecka № 5, wszystkie księgarnie i biura dzienników.

CENA OGŁOSZEŃ.

Nadesłane przed tekstem (za wiersz 1-szpaltowy petitowy) 40 kop., 4-ta strona okładki 30 kop., Reklamy za tekstem 25 kop., Ogłoszenia zwyczajne 20 kop., Ogłoszenia specjalne 75 kop.

Redaktor przyjmuje w sprawach literackich i artystycznych w soboty od godz. 5 do g. 7 wieczorem. Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 10 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień".

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa." Redaktor **Walenty Zieliński.** Sekretarz Eustachy Czekalski.

Klisze wykonał zakład R. SAWICKIEGO, Wspólna 45. Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17